

JOE ALEX



GDZIE

PRZYKAZAŃ

BRĄK DZIESIECIU

Joe Alex

GDZIE PRZYKAZAŃ BRAK DZIESIĘCIU

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-23-6

© Copyright by The Estate of Maciej Słomczyński (2022)

© Copyright for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

Projekt okładki: Olga Bołdok

*Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg,
Birmańska siedzi dziewczyna i wiem, że wspomina mnie;
Bo świątynny dzwon przyzywa, gdy wiatr w palm korony dmie:
„Wróć tu, wróć, żołnierzu z Anglii, wróć tu, wróć do Mandalay!”*

*Wróć tu, wróć do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień:
Czy nie słyszysz szmeru wiosel od Rangoon po Mandalay?
Na szlaku do Mandalay
Latająca ryba mknie,
A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!*

*Jej spódnica była żółta i zielony czepek jej,
Imię miała Supi-jo-lat jak królowa Tihibei.
Pierwszy raz ją zobaczyłem, gdy kurzyła faję białą,
Chrześcijańskie pocałunki marnując na bożka ciało:*

*Plugawe, gliniane cudo,
Zwane wielkim bogiem Buddą.
Dużo dbała o te bogi, gdy całowałem jej nogi!
Na szlaku do Mandalay...*

*Gdy mgła wstała z pól ryżowych, a słońce schodziło wolno,
Wyjmowała swoje banjo i śpiewała „Kulla-lo-lo!”
Z policzkiem na mym policzku i ręką na mym ramieniu,
Spoglądała na parowce i hathis z pniami w strumieniu.*

*Słonie ciągną pnie na złoże
W śliskim, szlamistym bajorze,
Gdzie cisza wisi tak ciężko, że człowiek mówić nie może.
Na szlaku do Mandalay...*

*Ale to już odpłynęło, dawno minął już ten dzień;
Nie kursują autobusy z banku aż do Mandalay.
Tu w Londynie wiem, co znaczy tam przesłużyć dziesięć lat:
„Kiedy raz cię Wschód zawoła, na nic później cały świat”.*

*Na nic później cały świat:
Czosnek pachnie tam jak kwiat,
Jest słońce, palmy, a w górze głos świątynnych dzwonów gra
Na szlaku do Mandalay...*

*Chory jestem od zdzierania zelówek o twarde bruk,
A przeklęta słota Anglii budzi febrę, zwala z nóg.
Choć od Chelsea, aż do Strandu, kucht tuziny za mną gnają
I gadają o miłości, ale o czym to gadają?*

*Sine, krowie pyski mają.
Boże, o czym to gadają?*

*Mam smuklejszą, słodsza pannę w piękniejszym, zieleńszym kraju:
Na szlaku do Mandalay...*

*Płynąć chcę na wschód, za Suez, gdzie jest dobrem każde zło,
Gdzie przykazań brak dziesięciu i pić można, aż po dno.
Bo świątynny dzwon przyzywa i tam tylko być już chcę –
Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg.*

*Na szlaku do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień;
Nasi chorzy tam leżeli, gdyśmy szli na Mandalay!
Na szlaku do Mandalay
Latająca ryba mknie,
A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!*

Rudyard Kipling

(Wiersz, którego Joe Alex nauczył się na pamięć, będąc bardzo młodym człowiekiem. Po wielu latach usłyszał go ponownie z ust emerytowanego generała-majora Johna Somerville'a, Komandora Orderu Łaźni i Komandora Orderu Cesarstwa Indii. Nie wiedział jeszcze wówczas, że niewiele godzin minie, a będzie powtarzał ten utwór do znużenia, strofa po strofie, przeczuwając, że stąd właśnie może wytrysnąć ów promyk światła, który rozjaśni krętą i najeżoną zasadzkami ścieżkę prowadzącą do zdemaskowania jednego z najprzebieglejszych morderców w dziejach Wielkiej Brytanii.)

SPIS RZECZY

- I. BIADA TYM, KTÓRZY PISZĄ KSIĘGĘ...
- II. ZASZTYLETOWAĆ GO JEDNYM Z EKSPONATÓW
- III. CIĘŻKIE CZERWONE KROPLE...
- IV. ŻŁOTA FIGURKA
- V. JUTRO, BO DZISIAJ NIE JESTEM JESZCZE GOTÓW
- VI. YETI I JEGO ŻONA ŁADNI
- VII. I NIECHAJ SKŁADA MU CO DNIA OFIARY...
- VIII. KAROLINĘ BEACON, WNUCZKĘ BRATA MEGO...
- IX. NIE ZAWSZE I NIE WSZYSTKO...
- X. GENERAL JOHN SOMERVILLE SIEDZIAŁ ZA STOŁEM...
- XI. PAN MÓJ BĘDZIE POMSzcZONY
- XII. NIE WIDZIAŁEŚ TYCH PIENIĘDZY
- XIII. O KTÓREJ GENERAL JADŁ ŚNIADANIE...
- XIV. PIERWSZE PRZESŁUCHANIA
- XV. TO NIEMOŻLIWE, PANIE DOKTORZE
- XVI. CZEGO ON CHCIAŁ ODE MNIE?
- XVII. MERYL PERRY LEŻAŁA NA ŁÓŻKU, OCZY MIAŁA OTWARTE...
- XVIII. W OKNACH PŁONEŁY ŚWIATŁA...
- XIX. CZY JESTEŚ PEWIEN, JOE?...
- XX. MÓJ WÓZ NIE NADAJE SIĘ DO UŻYTKU
- XXI. ŻENIE SIĘ

I. BIADA TYM, KTÓRZY PISZĄ KSIĘGĘ...

Joe Alex siedział przy stole i zmęczonymi, zrozpaczonymi oczyma wpatrywał się w kartkę papieru nawiniętą na wałek małej, płaskiej maszyny Olivetti, która służyła mu wiernie od tylu już lat. Przeciągnął powoli palcem po napisie LETTERA 22 pośrodku grzbietu maszyny. Ani pyłku. Higgins zadbał nawet o to. Poczciwy, szczęśliwy Higgins, znał swoje obowiązki i przywileje, poruszał się równomiernie w ściśle uregulowanym świecie swej pracy i wypoczynku, mógł każdego wieczora powiedzieć sobie usypiając: Oto minął jeszcze jeden doskonale przepracowany dzień mojego życia!

Alex westchnął, wstał, wykręcił kartkę z maszyny i przyjrzał się jej marszcząc brwi z tak skupioną uwagą, jak gdyby poza cyferką „2” stojącą pośrodku u góry znajdowały się na niej słowa, do których przykładał ogromne znaczenie.

Ale na kartce nie było ani jednego słowa. Wkręcił ją na powrót i usiadł. To musiało przecież minąć. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Wstał dziś o piątej rano. O pół do szóstej usiadł do maszyny. Cztery i pół godziny...

Zerknął na leżącą obok maszyny kartkę oznaczoną cyfrą „1”. I ona była niemal pusta. U góry – pośrodku – znajdowały się dwa napisane rozstrzelonym drukiem wyrazy:

Joe Alex

Nieco niżej cztery następne, ujęte cudzysłowem:

„GDZIE PRZYKAZAŃ BRAK DZIESIĘCIU”

Tytuł książki nie był zły. Pochodził z jakiegoś wiersza. Z jakiego wiersza? Joe potrząsnął głową. Był przekonany, że zna ten wiersz, ale wszystko dzisiaj zawodziło: łatwość pisania, kompozycja, nawet pamięć. Pozostał tylko ten fragment. Gdzie przykazań brak dziesięciu...

– A może, po prostu, nie chce mi się pisać? – powiedział półgłosem. – Może za wiele napisałem już tych książek, w których wyławiam moich jakże zdolnych morderców z łatwością, z jaką moi rozsądni znajomi łowią pstrągi w Szkocji o tej porze roku? Może to już koniec? Jeżeli ten przekłety talencik porzucił mnie nagle, będę musiał zająć się czymś prawdziwym. Ale czym? Nic innego nie umiem. Kiedyś umiałem przeprowadzać bombowce przez ogień artylerii przeciwlotniczej. Ale to było bardzo dawno, tak dawno, że sam już w to przestałem wierzyć. Mógłbym ewentualnie wstąpić do Scotland Yardu. Przyjęliby mnie przecież. Zostałbym policjantem. Jestem już przecież czymś w rodzaju detektywa honoris causa. Byłbym podkomendnym Bena Parkera i przychodziłbym punktualnie o ósmej do pracy. Nie, nie mógłbym przychodzić punktualnie do pracy. Nie umiem budzić się na żądanie. Wszystko, tylko nie to.

Umilkł. Przymknął oczy i przeciągnął się. Nie napisał dziś nic, a był tak zmęczony, jak po dwudziestoczworgodzinnym pisaniu non stop. A przecież jeszcze wczoraj wszystko miał doskonale ułożone w głowie. Pomysł tej powieści przyszedł nagle i skryształizował się w ciągu pół godziny. Joe był pewien, że będzie to jedna z jego najlepszych książek. Chociaż czytelnik otrzyma od autora wszystkie fakty nie osłonięte i wyraźne, nie odgadnie. Nie odgadnie, póki Joe Alex, twórca i bohater własnych powieści, nie powie mu, kto zabił.

Później nagle wszystko się zamazało, zbladło, zniknęło. Pozostał tylko nagi, banalny szkielet konstrukcji, który nie dawał się oblec w słowa. Nie mógł wykrzesać z siebie nawet pierwszego zdania.

Mimowolnie zerknął w stronę aparatu telefonicznego. Gdyby Ben zadzwonił. Boże, jak by to było dobrze, gdyby nagle Ben zadzwonił. „Czy to ty, Joe? Słuchaj, nie chciałbym ci przerywać pracy, ale jestem w tej chwili w Carltonie. Zabito maharadzę Aszampuru! Pokój zamknięty od wewnątrz, okna też, straż przyboczna stała całą noc przed drzwiami apartamentu... a jednak został zabity! Czy mógłbyś zajrzeć tu na chwilę?”

Czy mógłby? Zerwałby się z krzesła i zjechał po poręczy w dół, a potem pognałby samochodem przez zatłoczone, poranne ulice Londynu i zahamowałby gwałtownie przed wspaniałym wejściem do hotelu. Agenci w cywilu rozpoznaliby go od razu. „Tak, proszę pana. Pan Parker oczekuje pana. Jest na miejscu wypadku. Apartamenty drugiego piętra”.

Niestety, telefon milczał i nie było najmniejszej szansy, że zadzwoni właśnie w tej chwili. Nikt nie zabijał maharadzów na zamówienie. Choć Joe wierzył w nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, nie wierzył w cuda.

Powoli zwrócił oczy ku maszynie. Położył palce na klawiaturze. Muszę spróbować – pomyślał. – Jedno, dwa, trzy zdania i wszystko popłynie jak zwykle. Wiem przecież, co chcę napisać. Czy tak łatwa rzecz była kiedyś tak trudna dla kogokolwiek?

Uderzył palcem w literę „J”. Potem „o”, później „e”.

„Joe... Alex...”

Był przesądny i zawsze umieszczał w pierwszym zdaniu każdej ze swych książek własne nazwisko...

Ale tym razem nie napisał ani jednego słowa więcej i choć nie wiedział o tym jeszcze w tej chwili, wiele czasu miało upłynąć przed napisaniem następnego słowa. Zawahał się.

– Lecz oto wchodzi kobieta i na jej widok usycha delikatny krzew boskiego natchnienia... – powiedział świeży, dziewczęcy głos w progu. – Zdaje się, że bardzo przeszkadzam, prawda?

Nie odwracając się od stołu, aby nie dostrzegła jego radosnego uśmiechu, Joe powiedział ponuro:

– „Biada tym, którzy piszą księgę dłońmi swymi, a później powiadają: rzecz tę zesłał Allah! – aby mogli uzyskać za nią zapłatę niewielką. Biada im za to, co dłonie ich wypisały, i biada ich zapłacie”.

– Co to takiego?

– Koran, moja najlepsza Karolino. Sura pierwsza, czyli Krowa, werset ósmy: „Rosną w zatwardziałości serca swego”.

Odwrócił się nagle wraz z krzesłem, wstał i przytulił ją do siebie.

– Przestań, na miłość boską! – powiedziała półgłosem. – Cesałam się przez pół godziny, a za sekundę będę rozczochrana tak, że nawet twój dyskretny Higgins zacznie znacząco spoglądać w kąt pokoju i chrząkać, kiedy wejdzie. A mam przeczucie, że wejdzie za chwilę, żeby mi zaproponować filiżankę herbaty.

Wyswobodziła się łagodnie i położyła rękawiczki na stole, ale natychmiast uniosła je i pochyliła się nad kartką oznaczoną cyfrą „1”.

– Gdzie przykazań brak dziesięciu! Zaczynasz nową powieść?

– Jak widzisz, moja kochana... – Joe westchnął. – Ale błagam cię, nie mówmy o tym. Mówmy o tym, co cię tu sprowadziło. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek przestąpiła próg tego mieszkania o dziesiątej rano.

– Ponieważ o dziesiątej rano wszyscy albo prawie wszyscy dorośli ludzie w Londynie pracują. Jeżeli nie ma mnie o tej porze w Instytucie, pracuję w domu. Zresztą, czy słyszałeś kiedyś, żeby młode damy składały wizyty u samotnych mężczyzn przed południem?

– Subtelności chronologiczne nie są moją najsilniejszą stroną – powiedział Joe rozkładając bezradnie ręce. – Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego popołudnie albo wieczór miałyby...

Nie dokończył. Na progu rozległo się ciche chrząknięcie.

– Czy podać filiżankę herbaty, Miss Beacon? – zapytał Higgins i zwrócił pytające spojrzenie nie ku niej, lecz ku Alexowi.

– Tak! – odpowiedział Joe niemal z entuzjazmem. – Panna Beacon wypije herbatę razem ze mną. Czy zjesz coś? – zwrócił się do Karoliny.

– Jestem po śniadaniu. Tylko herbatę, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

– Tak jest, proszę panienki.

Drzwi zamknęły się cicho.

– Czy nie poprosisz mnie, żebym usiadła? – Karolina rozejrzała się. Oczy jej przesunęły się po obu wspaniałych fotelach, które Robert Adam zaprojektował ongi dla skromnego, choć nieśmiertelnego stolarza Tomasza Chippendale’a.

– To świętokradztwo siadać na tym – powiedziała potrząsając jasną główką. – Przecież one ciągle jeszcze mają oryginalne obicia! Powinny być w muzeum.

– Hm... – Joe posadził ją w jednym z foteli i usiadł naprzeciw, przysunąwszy bliżej stolik intarsjowany maleńkimi postaciami skrzydlatych sfinksów. – Zawsze wydaje mi się, że meble w muzeum są smutne. Te cudowne gabineciki o legionach szufladek, w których nikt już nigdy niczego nie ukryje, te puste gotyckie skrzynie posagowe, pozbawione posagu i macierzanki, te stoły dębowe, na które żaden pijany szlachcic nie rozleje już wina, stojące za przegrodą z pluszowych sznurków, są prawie tak rozpaczliwe, jak monety wystawiane na widok publiczny w szklanych, wybitych pluszem gablotkach. Moneta nie powinna być nieruchoma! Powinna dzwonić w sakiewce, padać na ladę, przechodzić z rąk do rąk, ewentualnie lądować wraz z innymi monetami na dnie skrzyni jakiegoś staruszka, aby po jego śmierci spadkobierca mógł przewrócić ów kufer i zachłysnąć się widokiem migotliwego, rozbiegającego się po podłodze skarbu. Ale ta mumifikacja przedmiotów, które były w ciągłym użytku, i przeniesienie ich do ponurych sal pod straż ponurych woźnych, którzy sami ich nie tkną i innym na to nie pozwolą, jest paskudztwem. Powiadam ci szczerze, ile razy jestem w jakimkolwiek muzeum, gdzie abstrakcyjna istota, zwana społeczeństwem, nagromadziła to, co należało do poszczególnych ludzi, odczuwam niemal konieczność przesunięcia czegoś albo po prostu wsunięcia któregoś z drobniejszych eksponatów do kieszeni!

– Prześliczne poranne rozmyślanie wroga przestępców numer jeden! – powiedziała Karolina poważnie. – Mogłabym zarobić co najmniej sto funtów, gdybym sprzedała ten twój monolog któremuś z nieocenionych reporterów naszych pism codziennych: JOE ALEX MÓWI: „SAM MAM OCHOTĘ KRAŚĆ!” – na pierwszej stronie, oczywiście. Ale mam nadzieję, że nie robisz tego?

– Niestety! – Joe znowu rozłożył ręce. – Społeczeństwo złamało mi kręgosłup, kiedy byłem jeszcze niemowlęciem. Jestem istotą bardzo odległą usposobieniem od naszych renesansowych przodków. Powściągam z łatwością każde pragnienie. Zauważyłaś przecież, że nie pocałowałem cię dzisiaj ani razu!

– Na miłość boską... – Karolina zerknęła na drzwi. – On zaraz wejdzie!

– Wiem. I to właśnie różni mnie od naszych praojców, którzy nie krępiąc się obecnością paziów, giermków, adiutantów, spowiedników, pacholków i dziewczek służebnych brali ukochane kobiety w ramiona i...

– Słuchaj – przerwała Karolina pospiesznie, nie odrywając oczu od drzwi. – Zanim przystąpisz do kompromitowania mnie w oczach służby, może będziesz na tyle uprzejmy, że zechcesz zapytać o powód mojej wizyty tutaj.

– Nie muszę... – Joe uśmiechnął się pogodnie. – Najbardziej zdyscyplinowana inteligencja epoki nie musi nikogo o nic pytać. Czy chcesz, żebym ci powiedział, co cię sprowadza? Dziś rano otrzymałaś pierwszą pocztą list ekspres, w którym nadawca prosił cię o natychmiastowe skomunikowanie się ze mną w bardzo ważnej dla niego sprawie. Dlatego nie poszłaś do Instytutu i przyjechałaś tutaj. W liście nadawca nie doniósł ci o żadnym

straszliwym wydarzeniu, nic się nie stało, ale osoba nadawcy wzbudza twoje zaufanie albo szacunek i dlatego postanowiłaś od razu wypełnić jego życzenie.

Karolina spojrzała na niego niemal z przerażeniem.

– Joe, jak to?... Jak mogłeś wiedzieć?... Przecież...

– Mógłbym otoczyć się gęstym mrokiem tajemnicy i zachować twój jakże stosowny podziw jeszcze przez kilka minut, ale sprawa jest zbyt prosta dzięki prześlicznemu kostiumowi, który włożyłaś na tę okazję. Jest on wykonany z cieniutkiej wełny i żakiet jego ma dwie kieszonki. W jednej jest list. Ale kieszeń jest płytka i list wystaje nieco. Nawet z tej odległości widzę słowo: „Express”, podkreślone dwa razy czerwonym ołówkiem. Ponieważ masz na kolanach torebkę, więc wydawałoby się, że list powinien znajdować się w torebce. Ale przecież jesteś tylko kobietą i jadąc tutaj chciałaś go jeszcze raz przeczytać, żeby przygotować się do rozmowy ze mną. Czytałaś w taksówce i wsunęłaś list do kieszeni wysiadając z auta. Jeżeli chodzi o pozostałe moje uwagi, to wiem, że nic złego nikomu się jeszcze nie stało, bo jesteś w doskonałym humorze. Gdybyś otrzymała list z tragiczną wiadomością, weszłabyś tu z dyskretnym dostojeństwem i mówiłabyś poważnie i lekko przyciszonym głosem już od progu. Znam cię przecież, moja panienczko. Wbrew pozorom jesteś osobą poważną. Nadawca tego listu jest kimś szanownym i wzbudzającym twój szacunek, bo przyjechałaś od razu. Gdyby to była jakaś dawna znajoma, powiedzmy, koleżanka szkolna, która wie, że... no, że łączy cię przyjaźń z Joe Alexem, zaczekałabyś do godziny trzeciej po południu, to jest do chwili, kiedy mieliśmy się spotkać w Carltonie. To wszystko.

– Rzeczywiście wygląda to bardzo prosto, chociaż jeden szczegół jest niezupełnie dokładny – powiedziała Karolina nieco zawiedzionym głosem. – Okazuje się, że nie jesteś jasnowidzem.

– Ależ jestem! Na tym właśnie polega moja przewaga nad ludźmi, którzy nie biorą pod uwagę wszystkiego... – Joe wypiął pierś i uderzył palcem w miejsce, gdzie powinno było znajdować się serce. – Co prawda, naród mój, który wieszał girlandy orderów na Beatlesach, nie zaszczylił mnie po wojnie żadnym odznaczeniem, ale jeśli Jej Królewska Mość zechce ustanowić kiedyś medal za spostrzegawczość, mogę ci powiedzieć w sekrecie, że wiem, na czyjej piersi zawiśnie.

– Jesteś urzekająco skromny.

– Oczywiście, że jestem. Czy spotkałaś kiedykolwiek człowieka, który nie popełnił ani jednej omyłki podczas całej swojej kariery?

– Nie... – Karolina potrząsnęła głową, śmiejąc się. – Nie spotkałam i nie sędzę, żebym go kiedykolwiek...

– Mylisz się! – przerwał jej. Wstał. – Masz go przed sobą! Niestety, osoby będące obiektami moich jakże precyzyjnych wniosków przeważnie nie żyją albo odsiadują kary więzienia tak gigantyczne, że trudno przypuszczać, abyśmy mogli się z nimi porozumieć przed upływem dwudziestego wieku. Dlatego, z braku świadków, musisz mi wierzyć na słowo. A jeśli nie wierzysz, zapytaj Bena. Bardzo niechętnie, z dużym wahaniem, ale powie ci on dokładnie to samo co ja: nie było do tej pory ani jednej zagadki, której nie rozwiązałbym do końca. Ani jednej, Karolino!

Zakręcił się na pięcie i usiadł.

– Czy wiesz, dlaczego wygłosiłem ten mały panegiryk na własną cześć?

– Prawdopodobnie sprawia ci to po prostu przyjemność – powiedziała z niewinnym wyrazem twarzy. – Istnieją ludzie, którzy nade wszystko lubią chwalać siebie i swoje zalety. Oczywiście nie wspominają przy tym nigdy o wadach. To mogłoby im trochę popsuć tę niewinną przyjemność.

– Właśnie! – Joe wskazał dłonią stół. – Czy wiesz, że wstałem dzisiaj niemal przed świtem i nie napisałem dotąd ani jednego słowa? Nie, przepraszam, napisałem, zdaje się, dwa słowa.

– Widocznie dobry Bóg zadbał o to, żebyś nie był wszechstronnie bezbłędny. Nie przejmuj się, Joe. Ja, na przykład, nie umiem gotować. Ile razy próbowałam sobie w życiu coś ugotować, zawsze okazywało się, że ktoś musi zrobić to po raz drugi, bo rzecz nie nadaje się do jedzenia. Widocznie u ciebie tak jest z pisaniem – dodała pogodnie. – Ale może pozwolił mi powiedzieć, dlaczego przeszkodziłam ci teraz w tym najmielszym z zajęć.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że może cię w życiu interesować coś prócz mnie.

Wszedł Higgins, niosąc herbatę. Kiedy zniknął, Karolina ostrożnie pogłaskała dzbanuszek, nad którym unosił się maleńki obłoczek parującego mleka.

– Niestety, jestem ofiarą mojego zawodu. Czy Higgins nigdy nie stłukł żadnego z tych cudów? Przecież to Sevres, jeden z najwcześniejszych, jeżeli znam się na tym chociaż trochę.

– O ile wiem, Higgins nie tłucze porcelany. Dlaczego miałby ją tłuc?

– Och, po prostu dlatego, że jest bezcenna. Mnie drżałyby palce przy myciu tego. Na świecie istnieje jeszcze w tej chwili pięć albo sześć podobnych dzbanuszków tej klasy z tego okresu. On naprawdę powinien być w muzeum, a przynajmniej nie powinien używać go na co dzień. Spójrz na te ptaki! To chyba najdelikatniejszy wzór, jaki widziałam w życiu.

– Jesteś odrobinę egzaltowana i chociaż wszystko we mnie cofa się przed tą myślą, to jednak uczciwość każe przyznać, że jest w tobie coś ze starej panny! – Joe uniósł dzbanuszek. – Ile mleka?

– Troszeczkę. O, tyle. Stare panny też muszą dbać o linię. Dziękuję.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej list i bez słowa podała mu ponad stolikiem. Później wsypała cukier do filiżanki i zaczęła mieszać powoli, w milczeniu, przyglądając się spod długich rzęs czytającemu mężczyźnie.

Droga Karolino – zaczął czytać Joe półgłosem – chociaż wiem, że listy pochodzące od ludzi tak starych, jak ja, mogą się wydawać nużące osobom tak młodym i pełnym życia, jak Ty, pozwalam sobie jednak skorzystać z tego, że jestem bratem Twojego zmarłego dziadka, i chcę poprosić Cię o pewną przysługę. Choć od kilku już lat nie opuszczam mojej samotni, odwiedza mnie jednak wiele ludzi... (przy okazji pragnę raz jeszcze podziękować Ci za Twoje ostatnie odwiedziny, które wniosły powiew młodości do mojego domu, pleśniejącego już powoli równocześnie ze swym właścicielem) – i niektórzy z nich powtarzają mi londyńskie plotki. Kilkakrotnie obito mi się o uszy nazwisko Joe Alex, które bywa łączone z Twoim, choć w sposób jak najbardziej dyskretny. Nie myśl, że list ten ma na celu zwrócenie Ci uwagi na te plotki. Od dni mojej młodości wiele się zmieniło w świecie i nie chciałbym zabierać głosu w sprawach, których już najprawdopodobniej nie rozumiem. Zresztą, jestem nie tylko emerytowanym generałem, ale i emerytowanym liberałem, i wydaje mi się, że kobiety współczesne są szczęśliwsze niż ich babki. Wywalczyłyście sobie wolność, a stary, odchodzący od życia człowiek nie powinien zabierać głosu w tych sprawach...

– Bardzo rozsądne... – mruknął Joe – chociaż miałem cichą nadzieję, że twój dziadek będzie cię nakłaniał do małżeństwa. Ostatnio wiele myślałem o tym i muszę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że...

– Czytaj dalej! – powiedziała Karolina pospiesznie.

Alex niechętnie przeniósł wzrok na papier zapisany drobnym, wyraźnym, nieco drżącym charakterem pisma.

Jeśli wspomniałem Mr. Alexa już na początku tego listu i jeśli pozwoliłem sobie ujawnić, że wiem o łączącej Was przyjaźni, to uczyniłem tak tylko dlatego, gdyż doszedłem do wniosku, że jest to człowiek, z którym chciałbym się spotkać w najbliższym czasie. Niestety ani wiek, ani stan zdrowia nie pozwalają mi na podróż do Londynu. Dlatego proszę Cię, Karolino, abyś, o ile to możliwe, nakłoniła Mr. Alexa do odwiedzenia mnie. Oczywiście, nie muszę chyba dodawać, że także Twoja obecność będzie dla mnie jak zawsze prawdziwą radością. Gdybyś zdecydowała się pomówić z Mr. Alexem o moim zaproszeniu, bądź tak dobra i powiedz mu, że jestem gorącym wielbicielem jego książek i mam je wszystkie u siebie na podręcznej półeczce w sypialni, dalej także, że znam z gazet historię jego niezwykłych sukcesów na polu kryminologii...

– Czy mam powtórzyć powoli i dobitnie to ostatnie zdanie? – powiedział Joe spuszczając skromnie oczy.

– Nie trzeba. Dziadek John jest, jak już wiesz z tego listu, emerytowanym generałem. Wiemy przecież, co czytają najchętniej zawodowi wojskowi wszystkich krajów. Ale czytaj dalej.

Sprawa, którą chciałbym poruszyć w rozmowie z Mr. Alexem, jest natury ściśle poufnej i nie nadaje się do powierzenia korespondencji. Zresztą przekonany jestem, że dla wyjaśnienia jej konieczny byłby przyjazd Mr. Alexa do Mandalay House. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Twój znajomy jest zapewne bardzo zajęтым człowiekiem, a jeśli nie interesuje go rzeźba indyjska, nie znajdzie tu zbyt wielu atrakcji prócz pływania w zatoce i łowienia ryb z pokładu mojej motorówki, co także może wydać mu się niezbyt ciekawe, jeśli nie jest rybakiem. Ale wierz mi, moja mała Karolino, że bardzo mi zależy na jego przyjeździe tutaj i dlatego właśnie zwracam się do Ciebie, a nie do Mr. Alexa bezpośrednio. Nazwisko moje zapewne nic by mu nie powiedziało. Natomiast, znając Ciebie od czasów, gdy nosiłem Cię na plecach na brzeg morza (czy pamiętasz te różowe muszelki i naszyjnik, który Ci zrobił z nich Chanda?), wiem, że będę mógł polegać na Twoim takcie i uporze...

– Pan generał ma słuszość... – mruknął Alex – przynajmniej jeśli chodzi o to drugie.

– Dokończ, błagam! – Karolina wstała i obeszła stół – a później porozmawiamy. Mam zamiar wykazać tu jak najwięcej taktu, a jak najmniej uporu. Kiedy skończysz, powiem ci, co myślę o tym liście i jego nadawcy.

– Zgoda. Zaraz będzie koniec. Gdzie to ja przerwałem? Tutaj.

...na Twoim takcie i uporze. Jakakolwiek byłaby decyzja Mr. Alexa, proszę Cię bardzo o jak najszybszą odpowiedź. Może dodaj tylko, że problem, który miałby tu do rozstrzygnięcia, mógłby go zainteresować. Mnie interesuje on tak bardzo, że pozwoliłem sobie zanudzić Cię tym przydługim listem. Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i proszę o przekazanie moich pozdrowień Twojej drogiej Matce.

*Kochający Cię zawsze tak samo, Twój dziadek
John Somerville*

Alex uniósł głowę.

– John Somerville? – powiedział oddając list dziewczynie. – Wydaje mi się, że znam to nazwisko. Nie mogę go sobie tylko umiejscowić w pamięci. Zaraz, chwileczkę... Píše o rzeźbie w Indiach. Czy może to ten sam człowiek, który napisał „Południowoindyjskie brązy”, „Pomniki w Sanchi” i... czekaj... jakże się ta książka nazywa?... Już wiem! „Lew w dawnej rzeźbie indyjskiej”?

– Napisał około dwudziestu książek dotyczących wszystkich niemal szkół i okresów rzeźby indyjskiej, nie licząc artykułów w prasie specjalistycznej. Między innymi jest autorem rozpraw, które wymieniałeś. Ale naprawdę nie mogę pojąć, skąd ty...

Obszedł stół i pocałował ją delikatnie w czoło.

– Bo jest mi to w tej chwili potrzebne. Gdybym chciał napisać o nas książkę, zacząłbym ją od słów: „Karolinie, która była osobą zrównoważoną i hołdującą ustalonym, żeby nie użyć słowa utartym, poglądom na świat i ludzi, Joe Alex zawsze wydawał się istotą tak pełną uroczych, choć czasem niesamowitych niespodzianek, że przywiązanie jej do tego genialnego i jakże skromnego człowieka rosło z każdym rokiem, aż wreszcie pojęła w sposób ostateczny, że życie bez niego, choćby przez krótki okres czasu, byłoby dla niej niewysłowionym cierpieniem, przeplecionym dramatycznymi błyskawicami bólu. A gdy upewniła się, że uczucie jej dla tej najbardziej zdumiewającej osobowości i najdoskonalej zdyscyplinowanej inteligencji naszej epoki nie może ulec zachwianiu, otoczyła ciepłymi ramionami szyję umiłowanego i łzy radości trysnęły wezbranym potokiem z jej rozkochanych oczu...” – Jak ci się to podoba? Może trochę za wiele ekspresji w opisie działań, ale doskonale ukazuje myśli i uczucia bohaterki, prawda?

– Jestem wstrząśnięta. Jeszcze jedno takie zdanie, a możesz być pewien, że wezbrane potoki łez trysną z moich oczu i będą płynęły dłużej, niż przypuszczasz. Nie jestem tylko pewna, czy będą to łzy radości. Błagam, przestań na chwilę błaznować, Joe, i powiedz mi w paru prostych zdaniach, co mam odpowiedzieć generałowi Somerville’owi?

Joe, który od chwili wygłoszenia swej przerażającej tyrady śmiał się cicho, spoważniał nagle.

– Zanim odpowiem, muszę cię o coś zapytać.

– Oczywiście. Na pewno masz masę pytań. Przecież nie wiesz nic o...

– Chwileczkę. Wspomniałaś, że jeden szczegół z tych, które wymieniałem, mówiąc o nadawcy listu, nie jest zupełnie dokładny. Co miałas na myśli?

– Och... – Karolina zawahała się. – Powiedziałeś, że osoba nadawcy wzbudza moje zaufanie i szacunek...

– A czy tak nie jest? Mam wrażenie, że generał Somerville nie jest chyba młodym człowiekiem.

– No, ale nie jest to przecież równoznaczne z zaufaniem i szacunkiem.

– Czy chcesz powiedzieć, że nie uważasz stryja swojej matki za człowieka uczciwego?

– W innych okolicznościach starałabym się zmienić temat rozmowy, ale jeśli dziadek John sam chce, żebyś go odwiedził, nie mogę być nieszczerą. Powinieneś wiedzieć jak najwięcej o tej sytuacji, a ochrona czci rodzinnej też ma swoje granice, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że...

– ...że mówisz do człowieka, który niemal... dla którego... to znaczy... wiesz, co chcę powiedzieć: że jesteś dla mnie może nawet więcej niż członkiem rodziny.

– Wiem – Karolina uniosła oczy ku niebu. Roześmiała się. Ale i ona spoważniała nagle.

– Właśnie dlatego, Joe, że jesteś jedną z najbliższych mi w świecie osób, nie chciałabym... – urwała. Potem niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. – Ale jeżeli dziadek John sam o to prosi, jestem ci winna kilka zdań wyjaśnienia. Otóż, bardzo go zawsze lubiałam, lubię go nadal. Był dla mnie bardzo dobry, kiedy byłam mała. Ale... – znowu zawahała się. – Możesz pomyśleć, że sąd mój jest zanadto subiektywny. Bo, widzisz, dziadek John nie jest w moim przekonaniu człowiekiem przyzwoitym... przynajmniej, jeśli chodzi o nas... o moją mamę i ojca.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i Joe dostrzegł, że zaczerwieniła się. Udając, że szuka zapalek, odwrócił się, podszedł do biurka i zaczął poruszać na nim cicho i bezsensownie papierami. Karolina mówiła dalej.

– Nigdy nie byliśmy zamożni, ale kiedy mój ojciec został ciężko ranny na wojnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a potem już nie mógł naprawdę dojść do siebie i został, praktycznie biorąc, zupełnym inwalidą z niewielką rentą, sytuacja nasza pogorszyła się znacznie i byłaby zupełnie krytyczna, gdyby nie moja mama i jej ogromna energia. Wyobraź sobie, że ta kobieta, która nie miała żadnego zawodu, wyuczyła się błyskawicznie tajników kosmetyki i założyła mały salonik piękności na prowincji, dzięki któremu potrafiła później wykształcić mnie i zapewnić istnienie na jakim takim poziomie sobie i ojcu. Ale nie o mojej mamie chcę mówić, chociaż cała ta sprawa jest z nią związana. Otóż w ciągu najbardziej krytycznego okresu, kiedy wyczerpały się już pieniądze otrzymane od rządu jako rekompensata za trwałe inwalidztwo ojca, matka z trudem zdobywała środki na najbardziej konieczne wydatki i sytuacja wyglądała beznadziejnie. Wtedy, stojąc w obliczu absolutnej ostateczności i nie mając innego wyjścia, napisała do dziadka Johna, który jest przecież jej rodzonym stryjem. Muszę dodać od razu, że dziadek John jest człowiekiem bardzo bogatym. Jak zdobył swoją fortunę, o tym za chwilę, ale najpierw dokończę to, co mam do powiedzenia o tamtej sprawie. Otóż, mama nie chciała oczywiście żadnej darowizny. Prosiła go tylko, czy nie mógłby nam pożyczyć pewnej ilości pieniędzy. Nie pamiętam już dokładnie, ile jej było potrzeba, ale wiem, że nie wchodziła w grę wielka suma. Chciała pożyczyć te pieniądze na pewien stosunkowo krótki okres czasu i obrócić je na urządzenie tego właśnie zakładu kosmetycznego, o którym ci już wspominałam. W budżecie dziadka Johna pozycja ta byłaby niemal niedostrzegalna, a dla nas stanowiła kwestię życia i śmierci. Nadal w prośbie tej nie widzę niczego niestosownego, zważywszy czas wojny, tak bliskie pokrewieństwo, naszą biedę i ogromny majątek Somerville’a. Opisała mu zresztą dokładnie całą sytuację...

– I jak można przypuszczać z tego, co powiedziałaś na wstępie, staruszek odmówił, tak?

– Nie tylko odmówił, ale dość dobitnie odpisał, że nie on wypowiedział wojnę, więc nie do niego należy ponoszenie jej finansowych skutków. Dołączył jeszcze do tego stwierdzenia kilka rad i uwag, zamykających się mniej więcej w tym, że tylko samodzielność w życiu jest coś warta, że nie należy liczyć na niczyją pomoc i prosić o nią, bo ładowanie pieniędzy w słabeuszy, którzy sami sobie nie mogą dać rady w życiu, jest nonsensem, a silni potrafią zdobyć konieczne środki bez niczyjej pomocy i dopną swego celu.

– Krótko mówiąc, twardy wiktoriański charakter twórcy imperium i żołnierza niezłomnego także w sprawach finansowych.

– Krótko mówiąc, paskudnie z mamą postąpił. Nie pamiętam tych czasów, ale mama opowiadała mi, że przez tydzień płakała w ukryciu, prosząc Boga, żeby ojciec, którego nerwy były wtedy w fatalnym stanie, tego nie zauważył. A później... później jakoś sobie poradziła bez pomocy generała Somerville’a.

Joe uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

– To znaczy, że dziadek John, jeżeli wolno mi go tak nazywać, miał trochę słuszności w ocenie swojej bratanicy, chociaż trudno twierdzić na podstawie jego uczynku, że jest on wzorem cnót chrześcijańskich.

– Na pewno nie jest! – Karolina także mimowolnie uśmiechnęła się. – Mama wyszła zwycięsko z tej próby i nie ma powodu, żeby rozpamiętywać wady jej krewnych. Ale dziadek John nie jest człowiekiem tak jednoznacznym, jak by się wydawało. Otóż w postscriptum do tego listu, w którym odmówił mamie wszelkiej pomocy finansowej, zaprosił mnie do siebie na nie określony przeciąg czasu!

– Nie rozumiem? Byłaś jeszcze wtedy malutką dziewczynką.

– No właśnie. Napisał, że chociaż nie sądzi, aby finansowanie amatorskich salonów kosmetycznych było jego głównym posłannictwem, rozumie trudności, z jakimi mama się boryka. Sytuacja taka musi, jego zdaniem, wpłynąć negatywnie na jej opiekę nad mną i na moją edukację. Dlatego zaproponował, żebym przeniosła się chwilowo do niego, i obiecał, że

ze swej strony otoczy mnie jak najlepszą opieką i zrobi wszystko, żebym wyrosła na „dzielnego człowieka”.

– A twoja mama?...

– Mama zgodziła się. Nie miała zresztą innego wyjścia. Życie w Anglii tuż po wojnie nie było łatwe. Chociaż rozstanie ze mną przeżyli bardzo oboje, ona i ojciec, pojechałam. I zostałam u dziadka Johna, przez sześć lat, póki rodzice nie stanęli na mocnym gruncie.

Urwała i uśmiechnęła się.

– Okazało się zapewne, że emerytowany generał nie jest wcale takim złym dziadkiem, jak by można było sobie wyobrazić, sądząc po sposobie, w jaki potraktował prośbę twojej matki?

– Tak. Szczerze mówiąc, były to chyba najradośniejsze lata w moim życiu. Ogromny, stary dom z własną plażą nad ciepłą zatoką. Wielki ogród, oranżeria pełna podzwrotnikowych krzewów i, nade wszystko, dziadek John, który okazał się dla samotnej czteroletniej dziewczynki, odłączonej nagle od rodziców, najciekawszym dziadkiem świata. Był zupełnie zdumiewający. Zabierał mnie wszędzie z sobą, mówił mi o rzeźbach, o technice wytapiania brązu, o obróbce kamienia, o historii Indii i o swoich czterdziestu latach pobytu w tym kraju. Oczywiście, sprowadził dla mnie guwernantkę Francuzkę i w ogóle byłam wychowywana jak księżniczka. Muszę ci powiedzieć, Joe, że ile razy wspominam ten okres, na który przestałam już patrzeć oczyma dziecka, wydaje mi się, że właśnie pobyt u dziadka Johna zrobił ze mnie archeologa. Poszłam stamtąd w świat z ciekawością i szacunkiem dla dawnych artystów i z pragnieniem penetrowania przeszłości. Nie wspominam już o tym, że dziadek John nauczył mnie tej odrobiny sanskrytu, która później tak mi się przydała, a guwernantka zmusiła mnie po dramatycznych bojach do opanowania francuskiego, łaciny i początków greki.

– Krótko mówiąc, dziadek John jest świętym Mikołajem twojego życia.

– Niezupełnie. Kiedy mama zabrała mnie z powrotem do siebie, tęskniłam do dziadka i jego domu. Przypominam sobie, że płakałam po nocach, starając się oczywiście, żeby nikt tego nie dostrzegł, bo z kolei nie chciałam robić przykrości rodzicom. Ale to prędko minęło. Dzieci łatwo zapominają. Pisywałam do dziadka, a on do mnie. Raz do roku odwiedzałam go na dzień lub dwa z mamą, zresztą robię to nadal. Ale nie mogę powiedzieć, żeby zaciekał go kiedykolwiek mój los od chwili, gdy usunięto mnie z orbity jego wpływów. Nigdy potem nie przejawiał zbytniego zainteresowania moją osobą i grzecznie, ale bez entuzjazmu kwitował wiadomości o moich postępach w nauce, a w końcu o przyjęciu do Instytutu i tych paru małych sukcesach, jakie miałam dotychczas. Z chwilą kiedy opuściłam jego dom, stał się tak samo obcy, jak był przedtem. Nie znaczy to, oczywiście, że jesteśmy w złych stosunkach. Może byłyby one nawet lepsze, gdybym poszła za jedyną radą, którą mi dał, gdy byłam na studiach. Chciał, żebym się zajęła archeologią Indii. Niestety, Indie nie interesowały mnie nigdy w tym stopniu, co kraje basenu Morza Śródziemnego.

– Zważywszy fakt, że on sam jest autorytetem w jednej z dziedzin sztuki tego kraju, można go chyba rozgrzeszyć, prawda? – powiedział Joe.

– Tak, na pewno. Ale dziadek John niedwuznacznie sugerował mi, że gotów jest pokrywać kosztą moich studiów i utrzymania, nie mówiąc już o egzotycznych podróżach na Wschód, jeżeli poświęcę się sztuce indyjskiej i dam mu słowo, że nie zdradzę nigdy tej dziedziny. Chciał we mnie widzieć, jak sądzę, wiernego pomocnika i dziedzica jego idei. Kiedy odmówiłam, nie było już mowy o żadnej pomocy. Może po prostu zapomniał? Jest bardzo stary. Minał już dziewięćdziesiątkę, ściśle mówiąc, ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

– Piękny wiek!

– Kiedy go zobaczysz, nie uwierzysz w to. Umysł ma tak bystry, jak miał Bernard Shaw, gdy był jego rówieśnikiem. Porusza się szybko i mówi z niezmaconą logiką. Ma nawet bardzo specyficzne, starcze poczucie humoru. Jak gdyby bawiła go nieuchronność nadchodzącej śmierci. Często przeraża tym nie znających go dobrze rozmówców.

– Wszystko to brzmi bardzo sympatycznie...

– Na pewno. Ale jeżeli dodam, że zbiory jego pochodzą w połowie z rabunku, a w połowie z łapówek, wyłudzonych od tych nieszczęsnych Hindusów i Birmańczyków w czasach, gdy miał coś do powiedzenia na obszarze znajdującym się pod jego komendą wojskową, to sprawa będzie się przedstawiała nie tak zabawnie. Sam zresztą otwarcie o tym mówi. Jest starym kawalerem i te kamienne, brązowe, pozłacane i srebrne figury zastępują mu rodzinę. Twierdzi, że jest to najpiękniejszy z rodzajów miłości, bo ukochane jego istoty nie starzeją się nigdy, nie robią przeciw niemu intryg i nie zaznał od nich nigdy niczego prócz radości. Tyle, jeśli chodzi o posągi i posążki, natomiast w stosunku do ludzi nie ma żadnych skrupułów. Pojechał do Indii przed laty jako ubogi młody oficer i powrócił bardzo bogatym człowiekiem. Kiedy zapytałam go, będąc dziewczynką, jak to było możliwe, odpowiedział mi: „Pamiętaj, Karolinko, jeżeli człowiek ma w życiu jakąś wielką namiętność, powinien wszystko dla niej zrobić. Kto chce zadowolić równocześnie króla, Boga, rodzinę, własne sumienie i swoją wielką pasję, zawsze przegrywa i ginie w rozpacz. Świat ten wymyślony został dla silnych. Tylko silni mogą być dobrzy... później...” – Znowu urwała i dokończyła z uśmiechem: – Ale obawiam się, że w przypadku dziadka Johna to „później” jeszcze nie nastąpiło. Jest tak samo samotny, oderwany od ludzi i obojętny wobec świata, jakim był zawsze. A szkoda... Wydaje mi się, że mogłabym bardzo kochać tego staruszka.

– A mnie się wydaje, że w pewien sposób kochasz go... – Joe podszedł, ujął jej głowę w dłonie i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. – Na dnie serca masz żal, Karolino, że twój dziadek John, samotny, stojący nad grobem człowiek, nie uważa cię za oczko w głowie. Wydawałoby się, że to niemal jego obowiązek, prawda? Ma taką śliczną, miłą i promienną, młodą krewną, zna ją od dziecka i... nic. Ale jeżeli pomyślimy, że nie chciałaś poświęcić się ulubionemu przedmiotowi jego zainteresowań, to...

– W końcu mam prawo postępować tak, jak zechcę!

– Więc nie odmawiaj tego prawa generałowi Somerville’owi.

– Widzę, że albo przedstawiłam go w zbyt różowych barwach, albo siebie mimowolnie w zbyt ciemnych. Ale zrozumiesz wszystko, kiedy go poznasz. Wracając do tematu...

– Myślę, że nie ma potrzeby wracać do tematu twoich odwiedzin tutaj. Ta książka... – wskazał biurko – tylko zyska na tym, jeżeli przez kilka dni nie będę widział maszyny do pisania. Wielki dom, pełen rzeźb, wielokrotnie starszych niż twój stary dziadek, a pomiędzy nimi snuje się zapewne siwy hinduski służący, który od pół wieku nie opuścił swego pana ani na jeden krótki dzień. Zawsze uwielbiałem takie idylliczne obrazki i uczucia. Jest tam, oczywiście, stary hinduski służący, prawda?

– Skąd wiesz?

– O Boże! – Joe westchnął. – Przecież wiem nawet, jak ma na imię: Chanda, prawda? No, tak... Bo cóż by innego miał znaczyć ten passus w liście mówiący o naszym jniku z muszelek, który wykonał dla ciebie Chanda.

– Zapomniałam o liście.

– A ja nie, bo Joe Alex nie zapomina o niczym... prócz herbaty. Jest już zupełnie zimna. Czy może być coś gorszego niż zimna herbata, Karolino?

– Może być – odpowiedziała wznosząc oczy ku niebu. – Nadmierna skromność. Ale nie martw się, tobie to nie grozi.

Joe ze wstrętem odstawił filiżankę.

– Czy twój dziadek John ma telefon?

– Oczywiście.

– Jestem pewien, że pamiętasz numer, a jeśli nie, to na pewno jest on zanotowany w tym małym czarnym notesiku, który spoczywa w twojej torebce. Podaj mi ten numer. Wydaje mi się, że powinnaś uprzedzić generała Somerville’a o naszym przyjeździe.

– Kiedy chcesz wyruszyć?

– Gdzie dokładnie leży ta posiadłość?

– W Devonshire, pomiędzy Torquay i Teignmouth.

– Wspaniałe Devon! Jedyne ciepły zakątek naszej ponurej, romantycznej ojczyzny. Nie dziwnego, że twój dziadek osiadł tam po czterdziestu latach pobytu w Indiach. W Szkocji, a nawet w Londynie, jego stare kości dawno próchniałyby już chyba w rodzinnym grobowcu. Devon! Znakomicie! Wiesz, jak by się zaczynał drugi rozdział powieści o nas? – „Joe Alex i jego uroczą jasnowłosa przyjaciółka wypoczywali na plaży. Stojące w zenicie słońce gładziło miłośnicie ich gibkie, opalone ciała, a Prąd Zatokowy, niosący od zamierzchłych tysiącleci ciepłe wody Meksyku ku brzegom tego skrawka zimnego Albionu, lizał miłośnicie ich stopy. W górze, wysoko ponad leżącymi, kołysał się nieruchomy albatros. Patrzyli nań spod przymrużonych powiek i śnili na jawie. Radość obojga kochanków była niczym nie zmacona, gdy nagle... – zawiesił głos na ułamek sekundy – powiało chłodem i mroczny cień przysłonił słońce. To stuletni niemal sługa generała, który podszedł bezszelestnie, jak gdyby brunatne jego stopy unosiły się w powietrzu ponad piaskiem, pochylił się nad leżącymi i wyszeptał ochryple: – Sahib Generał prosi, abyście zechcieli spożyć z nim miskę ryżu i filiżankę bambusowej zupy”. – Pięknie, prawda?

– Czy powiedziałeś „ich gibkie ciała”, Joe?

– Tak.

– Właśnie. Chciałam ci zwrócić uwagę, że zaczynasz trochę tyć. A numer telefonu, o który prosiłeś, jest następujący: Devonshire, Teignmouth 48-88, „Mandalay House”. Joe podszedł do aparatu.

– Czyżby?... – mruknął. – Więc tyję? No, cóż. Mężczyzna w średnim wieku nie może wiecznie wyglądać jak osiemnastoletni chłopiec.

Zawrócił nagle.

– Porozmawiajmy jeszcze chwilę. Trzeba, żeby to nie było nazbyt spontaniczne. Generał nie powinien przypuszczać, że pędzimy do niego bez tchu, prawda?

II. ZASZTYLETOWAĆ GO JEDNYM Z EKSPONATÓW

Spojrzał na Karolinę, która nie przestawała się uśmiechać.

– Czy sam chcesz z nim porozmawiać?

– Nie – Joe potrząsnął głową. – Chciałbym, żeby generał Somerville docenił nie tyle moją gotowość usłużenia mu, ile twoją dobrą wolę w tej sprawie. Myślę, że będzie lepiej, jeżeli ty z nim pomówisz. Powiedz, proszę, że chociaż jestem człowiekiem niesłuchanie zapracowanym, dla którego każda godzina posiada lśniąca wagę dukatowego złota, to jednak uległem twoim prośbom i...

– W głosie moim będą tłumione łzy wzruszenia. – Karolina ze zrozumieniem pokiwała jasną główką. – Będę z trudem formułowała zdania. Ale może ustalmy najpierw termin naszego przyjazdu? Czy mam powiedzieć staruszkowi, że nie wiesz, kiedy znajdziesz czas i ile tych dukatowych godzin możesz mu poświęcić? Czy może określimy, kiedy ma nas oczekiwać?

– Oczywiście. Pomimo pewnej kwiecistości stylu, która maskuje prawdziwą intencję autora, sądzę, że generał Somerville chciałby się ze mną zobaczyć jak najprędzej. Tak to przynajmniej zrozumiałem. Dla człowieka dziewięćdziesięcioletniego czas znaczy chyba więcej niż dla nas. Zresztą, jeśli w grę wchodzi sprawa, która naprawdę mnie interesuje, doświadczenie mówi mi, że z reguły przybywam za późno albo w ostatniej chwili. Zapytaj generała, czy chciałby nas widzieć już jutro... – zawahał się. – Gdybyśmy rano wyruszyli samochodem i pojechali przez Salisbury i Exeter, podróż trwałaby chyba nie więcej niż cztery, pięć godzin, prawda?

Karolina w milczeniu potwierdziła ruchem głowy. Joe ciągnął dalej:

– Powinniśmy tam zajechać na lunch. Dorzuciwszy godzinę na nieprzewidziane wydarzenia, jak burze, mgły, dziury w dętkach i inne radości automobilisty, możemy ustalić górną granicę przyjazdu do Mandalay House na drugą po południu. Ale twój dziadek na pewno lubi zdrzemnąć się po lunchu, tak że pół godziny odchylenia od tej granicy w jedną lub w drugą stronę nie zrobi mu różnicy. Kiedy otworzy sędziwe oczka, Joe Alex, archanioł z mieczem ognistym w dłoni, będzie stał nad jego fotelem rozglądając się z nieporównaną uwagą w poszukiwaniu wrogów imperium. A więc o drugiej, zgoda?

Karolina rozłożyła ręce.

– Jeżeli dziadek John marzy o poznaniu ciebie, a ty marzysz o spotkaniu z nim, moja zgoda nie gra żadnej roli. Mimo że przejażdżka rolls-royce'em nad morze posiada w sobie coś z marzenia stenotypistki, nie mam żadnych zastrzeżeń. O której wyruszymy?

– O dziewiątej, jeśli nie masz nic przeciwko temu – Joe podszedł do półki i wyjął z niej gruby tom oprawionych w płótno map samochodowych. – Wydawało mi się zawsze, że rolls-royce jest najprzystojniejszym samochodem na świecie. Czy byłabyś zadowolona, gdybym kupił jaguara?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI